

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: Audycje kulturalne – w dobrym tonie

♪ Zbigniew Wodecki „Panny Mego Dziadka”

„Mój dobry dziadek, dzielny człowiek
Gdy sprzedał dom i został sam
Szkatuły miał jak Trzej Królowie
I wielki pociąg miał do dam
Szkatuły miał jak Trzej Królowie
I wielki pociąg miał do dam”

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Od tej piosenki wszystko się zaczęło – wszystko, czyli popularność debiutanckiej płyty Zbigniewa Wodeckiego w warszawskim środowisku alternatywnym. Współpraca Wodeckiego z zespołem Mitch & Mitch, książka reporterska o tej właśnie kooperacji oraz nagranie tego odcinka Audycji Kulturalnych. Chociaż powinnam dodać tu jeszcze historię albumu, który Zbigniew Wodecki nagrał przed wydaniem debiutu z orkiestrą rozrywkową Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach pod dyrekcją Jerzego Miliana i z którego pochodzi ta wersja piosenki „Panny mego dziadka”. Całość składa się na opowieść o różnych twarzach Zbigniewa Wodeckiego. Ja nazywam się Magdalena Miszevska, a o zmarłym przed rokiem jednym z najbardziej znanych polskich wokalistów rozmawiam z Kamilem Bałukiem – współautorem książki „Wodecki. Tak mi wyszło”, która ukazała się jesienią nakładem wydawnictwa Agora i w drugiej części odcinka z Michałem Wilczyńskim z wytwórni GOD Records odpowiedzialnej za odkopanie wspólnych nagrań Wodeckiego i katowickiej orkiestry.

♪ Zbigniew Wodecki „Panny Mego Dziadka”

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: W dzisiejszym odcinku Audycji Kulturalnych będziemy rozmawiać o kilku twarzach Zbigniewa Wodeckiego. Przede wszystkim o tej, która znalazła się w książce „Wodecki. Tak mi wyszło” Kamila Bałuka, a tam też są dwie twarze, więc może nie przede wszystkim o tej tylko o tych, które z tej książki możemy odkryć. Kamil Bałuk jest naszym gościem. Dzień dobry.

KAMIL BAŁUK: Dzień dobry. I dodam od razu, że Waław Krupiński jest drugim autorem książki, bo ja pisałem reportaż już po śmierci Wodeckiego, a Waław Krupiński rozmawiał przed laty z samym Zbigniewem Wodeckim i tę rozmowę Wodecki autoryzował, więc to są te dwie twarze.

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Miałam kilka wzruszeń, czytając tę Twoją część reportażową dotyczącą Wodeckiego. Zastanawiam się, czy Ty się wzruszałeś, dowiadując się o kolejnych faktach i spisując tę historię?

KAMIL BAŁUK: Oczywiście, bo pomysł był taki, żeby opowiedzieć historię jednej, zapomnianej płyty, która zupełnym jakimś zrzędzeniem losu została po czterdziestu latach odgrzebana, przypomniana, a w zasadzie zaczęła żyć na nowo, bo kompletnie przepadła. Chodzi tutaj o płytę z siedemdziesiątego szóstego roku, którą Wodecki nagrał razem z Wojciechem Trzczańskim jako swoją debiutancką, no i piosenki z tej płyty się w ogóle nie przebiły. A dopiero po tych kilkudziesięciu latach za sprawą głównie muzyków Mitch & Mitch i warszawskiego środowiska powróciły jako niekiedy duże hity. I pomyślałem sobie, że najbliższy był mi Wodecki, choć oczywiście spotkałem się z zarzutami, że może nie Wodecki tylko na przykład mój taki fantazmat Wodeckiego, że ja sobie wymyśliłem go.

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: **Bo Ty go nie poznałeś.**

KAMIL BAŁUK: Nie poznałem go, co wcale nie jest problemem dla reportera zupełnie. To nawet czasami lepiej, bo nie jest się obciążonym pewnymi rzeczami. Można opowiedzieć historię na podstawie faktów, ale lepiąc je tak, jak się chce, bo to jest opowieść reportera. Także ja nie mówię, że to jest obiektywna prawda. Nie ma czegoś takiego w reportażu. W każdym razie ten Wodecki trzydziestoletni, teraz policzymy dwadzieścia sześć lat miał, kiedy nagrywał tę płytę i ten trzydziestoletni tuż po niej, był jakoś tak mi najbliższy ze względu na to, że sam mam trzydzieści lat. Myślę sobie tak i te wzruszenia w dużej mierze były obecne właśnie, kiedy dokumentowałem sobie te lata siedemdziesiąte. Patrzyłem, jak Wodeckiemu się coś tam nie udaje, słuchałem jego wywiadów archiwalnych radiowych, kiedy mówi, że nie przebiło się sporo jego piosenek, kiedy jest troszeczkę taki zgorzkniały. Jest to artysta, którego wszyscy znają, wszyscy pamiętają, ale może nie każdy pamięta, że bardzo wiele miał takich zwyczaj i zniżek rozpoznawalności czy też pewnie formy muzycznej. No i mnie interesował ten człowiek. To znaczy, nie ten jak to czasami mówię hologram Zbigniewa Wodeckiego, którym pod koniec życia w zasadzie on zarządzał, tą taką postacią jaką jest Zbigniew Wodecki. Dostał po prostu takiej rangi postaci. Myślę, że na przykład Kuba Wojewódzki też zarządza swoim takim hologramem. Nie jest już człowiekiem po prostu, tylko jest managerem hologramu. [ŚMIECH] Trochę nie chcę nikogo obrażać, ale niestety no tak to jest, jeśli się poświęciło całe swoje życie, a Wodecki to podkreślał. Od nastolatka jeździł no i chciał być popularny. Grał, występował, prezentował, oceniał, bo tych twarzy miał bardzo wiele. Na to się zamieniamy po tym z czasem w taką osobę nie do końca prywatną tylko w zasadzie publiczną w każdej sekundzie i w każdej sekundzie gotową do występu. Także ta osoba może niekoniecznie mnie tak bardzo interesowała, bo ona była jakoś tam znana i pewnie bliska wielu Polakom i po opiniach, które widzę w internecie mogę powiedzieć, że wiele osób oczekiwało tylko tego Wodeckiego właśnie, nie wiem, z programów telewizyjnych albo z Pszczółki Mai. No, ale on mnie troszeczkę mniej interesował, bo był taki oczywisty i faktycznie wolałem pogrzebać w tych latach siedemdziesiątych, zobaczyć w mojej wyobraźni, ale na podstawie relacji różnych osób jak on przychodzi do studia, poznaje Alibabki, które wtedy są dużo, dużo bardziej popularne od niego. Nie jest taki pewny czy w ogóle może nagrać tę płytę, czy jest gotowy. Słucha muzyki, która jest zupełnie niepopularna wtedy w Polsce. Jest bardzo

zainteresowany Burtem Bacharachem. Ma jakieś takie swoje wpływy międzynarodowe, też kubańskie. No na pewno spoza Europy, bo bardzo dużo jako skrzypek jeździł z Ewą Demarczyk. No i jest taki dla mnie jeszcze czysty, młodzieńczy. Założyłem, że ta pierwsza płyta to było to, co chciał powiedzieć naprawdę. Oczywiście mogę się mylić, ale to na pewno mnie jakoś tam poruszało i poruszały mnie te momenty, kiedy coś tam mu się nie udawało i kiedy mówił o tym głośno. Bo za mojego życia przez ostatnich tam dwadzieścia kilka lat nie przypominam sobie, żeby Wodecki tak opowiadał o tych starszych czasach, bo znalazł sobie dla nich miejsce na takiej zapomnianej półeczce.

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Ja miałam do siebie trochę też, czytając tę książkę i w ogóle takiego żalu do świata czytając o tym, jak bardzo utalentowanym muzykiem i wokalistą był Wodecki, i jak bardzo został sprowadzony do tej nieszczęsnej „Pszczółki Mai” i do „Chałupy”, czyli dwóch piosenek, których w ogóle nie był autorem, a jest z nich najbardziej znany. I ja już byłam w pewnym momencie zła na wszystko i na wszystkich, dlaczego tak się stało? Chociaż jakby muszę się przyznać uczciwie, że Zbigniew Wodecki muzycznie nigdy nie był w obszarze moich zainteresowań. Ja pamiętam, kiedyś miałam okazję z nim rozmawiać. To było jeszcze kilka lat przed jego koncertem na OFF-ie właśnie z Mitch & Mitch, tym który poniekąd zapoczątkował tę dużą popularność tego projektu. To był konkurs piosenki w niewielkiej miejscowości. On był tam jurorem i był tak cierpliwy, tak ciepły i tak sympatyczny i z każdy miał ochotę porozmawiać, że ja postanowiłam zostać na tym jego koncercie, chociaż w życiu przyszło do głowy, żeby pójść na taki ten recital Zbigniewa Wodeckiego, który on uprawiał, jeżdżąc po całym kraju właśnie ze swoją płytą, z podkładami, z instrumentami i śpiewając swoje piosenki. I zostałam do końca, bo tak mnie po prostu ujęła jego postać. No i teraz sobie wyrzucam, że nigdy wcześniej nie postanowiłam przed tym całym szaleństwem mitchowym zainteresować się jego twórczością. Bo on właśnie był też tak postrzegany przez ludzi w naszym wieku. Jak taki pan, który jeździ i coś tam sobie śpiewa, ale czy by to miało muzycznie nas interesować? No średnio.

KAMIL BAŁUK: Chyba tak. Nie ma co sobie wyrzucać tak bardzo mocno, bo myślę, że jednak to wszystko było rezultatem jego decyzji. Niekoniecznie jakoś szczególnie przemyślanej, ale do tego też się dokopałem. Dzisiaj myślimy, szczególnie młodzi ludzie, że jest coś takiego jak zarządzanie karierą, że jest jakaś pierwszy singiel, pierwszy album, że na przykład jak ktoś idzie do talent show, to jest jedna decyzja artystyczna, a jak ktoś nigdy nie pójdzie do takiego talent show tylko na przykład zaczyna od offowych projektów i może masz szczęście, żeby się przebić potem, no to, to jest lepiej. A są tacy, którzy na przykład zaczynają od talent show, a potem nikt już nie pamięta, że byli w talent show, bo przecież tak jest z Brodką, z Podsiadło, z Anią Dąbrowską. No można różnie do tego podejść. Jedni są bardziej w mediach społecznościowych aktywni, drudzy mniej. Jedni wydają non-stop, wchodzą w kolaborację, na innych płyty trzeba długo czekać, ale to wszystko odbywa się w pewnych takich kapitalistyczno-show-biznesowych regułach, do których już jesteśmy

przyzwyczajeni. A ja doszedłem do dość oczywistych wniosków, ale takich, o których może zapominamy, że Wodecki żył w zasadzie co pięć, co dziesięć lat w zupełnie innej Polsce, która dawała mu zupełnie nowe warunki do rozwoju, często to były anty warunki. W latach sześćdziesiątych wyrósł na Piwnicy pod Baranami. Był po prostu muzykiem-skrzypkiem. Potem w latach siedemdziesiątych stał się estradowcem takim prawdziwym z Opola, z Sopotu, poważnym, o konkretnym głosie i gdzieś tam w centrum z wielkimi orkiestrami grał i śpiewał. Nagle od osiemdziesiątego roku wszystko się zmieniło, stan wojenny to przemieszał, nie dało się nagrywać. Trzeba było bardzo dużo chałturzyć. Potem weszły zespoły rockowe, które po prostu zmiotły ze sceny i to tych wielkich festiwali pokolenie Wodeckiego. Też można by tam było inne nazwiska dodać jak Alicja Majewska, Zdzisława Sośnicka, Halina Frąckowiak. Potem końcówka lat osiemdziesiątych, początek dziewięćdziesiątych to z kolei zupełnie nowa Polska i nowe zapotrzebowania komercyjne. Stacje radiowe, które wypychają znowu starsze pokolenie, bo tylko młodzi, młodzi, młodzi. To znaczy, osoby, które zarządzają stacjami komercyjnymi w latach dziewięćdziesiątych, promują często ludzi w swoim wieku, co jest zupełnie normalne. Teraz jest śmiesznie, bo często te hity do dzisiaj grają, ci ludzie mają już po pięćdziesiąt lat, ale jakoś nie było zmiany pokoleniowej w tej kwestii, co mnie zawsze bawi, więc trzeba trafić w swój czas.

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: I mało tego ci, co właśnie w latach dziewięćdziesiątych byli młodzi teraz już trochę dorośli, to zapraszają tych zaprzyszłych wokalistów do współpracy.

KAMIL BAŁUK: No właśnie. To chyba jest troszeczkę wszystko przypadkowe. Zależy, w jakich czasach żyjemy. Ten projekt Wodeckiego z Mitchami zapoczątkował, może inaczej, był jednym z wielu takich projektów, które zapoczątkowały jakąś taką retro manię w polskiej muzyce teraz przez ostatnie lata tego odświeżania, tego co stare i w popie i w bardzo takiej niezależnej muzyce jest bardzo dużo. No nawet może powiedzieć, kiedy Badach śpiewa Zauchę, kiedy Zalewski Niemena, ale też projekty na przykład Maseckiego. Bardzo, bardzo dużo, mamy tego patrzenia do tyłu, którego nie było od lat. To znaczy, przeżyliśmy pewnie z kilkanaście lat, gdzie było tylko patrzenie do przodu, do przodu, do przodu. Więc akurat teraz pięć, sześć lat temu Wodecki z Mitchami idealnie się wstrzelili, ale dla mnie najważniejsze tam było to, że oni się nie wstrzelili dlatego, że zaplanowali to. To po prostu się stało z czystej jakiejś takiej miłości do muzyki szczególnie ze strony Mitch & Mitch oraz takiej otwartości na to, co przynosi życie ze strony samego Wodeckiego. Ci, którzy mu zarzucali, że może troszeczkę za bardzo poszedł w taką komercję, czyli właśnie, czy nawet chałturę, chociaż to słowo nigdy nie padało wprost, jeśli chodzi o Wodeckiego, bo wszyscy mówili, kiedy on występował, to dawał z siebie wszystko. Tego nauczyła go jeszcze Ewa Demarczyk, tego go nauczył Grechuta, szkoła muzyczna, więc on nigdy nie zszedł poniżej pewnego poziomu. Nie śpiewał z playbacku, nie fałszował, bo nie mógłby.

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Ale na ten pół playback też się denerwował, bo przecież, co z tego, że on puszcza płytę. Przecież on to najpierw

musiał skomponować, jacyś muzycy to nagrali. To nie jest tak, że ten pół playback jest jakimś bezwartościowym produktem. To po prostu ułatwiało mu pracę i to też jest taki moment żalu, który ja przeżyłam, czytając tę książkę, że on zaczął tak występować, bo miał wiecznie kłopoty z akustykami, którzy nie potrafili albo nie mieli możliwości nagłośnić jego koncertów porządnie. A z zespołu też zrezygnował z dwóch powodów. Jeden to taki dosyć żartobliwy, że honorarium najlepiej dzieli się przez jeden, dlatego on występuje sam, ale drugi trochę głębszy, że on nie byłby w stanie zapewnić tym muzykom stałego dochodu. A o to też się martwił.

KAMIL BAŁUK: No tak i to w zasadzie było pokłosiem tego, w jakich żył czasach. Faktycznie nie zauważył chyba pod koniec kariery, że ta kwestia akustyków się troszeczkę rozwiązała. To znaczy, że sprzęt jest lepszy, że ludzie więcej potrafią, bo wszedł już troszeczkę w takie koleiny. Miał swój repertuar, gdzie wszystko było po kolei tak samo. Podobne rzeczy mówił między piosenkami. To jest trudne wszystko, bo dla mnie to jest opowieść, żeby mnie Państwo dobrze zrozumieli – nie o Wodeckim trochę. Proszę się nie spodziewać czytania po prostu biografii Wodeckiego. Dla mnie on jest troszeczkę aktorem takiej szerszej opowieści, która by mogła być o na przykład Rodriguezie albo o Johnnym Cashu, bo to tego rodzaju powrót był. Z tym, że powrót osoby, która ciągle była tylko, że nie była tam, gdzie może publiczność, powiedzmy, mniej popowa bym jej szukała. Ale dla mnie to jest taka opowieść o tym, że kiedyś miało się jakieś marzenia, plany. Trzeba było je weryfikować, bo w jego wypadku po prostu kolejne jego pomysły nie wypalały. To nie była tylko ta pierwsza płyta ta w latach osiemdziesiątych. To były jakieś rozbudowane suity, utwory składające się z pięciu części. No czy ktoś słyszał takie rzeczy? Oczywiście, że nie. Dlatego, że ich się nie da znaleźć w internecie. Trzeba pójść do Polskiego Radia i pogrzebać tam. Bardzo jestem wdzięczny archiwistom w Polskim Radiu, że robią tą mrówczą pracę i katalogują. Wciąż jest bardzo dużo tych audycji i utworów do skatalogowania i można wtedy odkryć, że na przykład w latach osiemdziesiątych zajmował się czymś zupełnie innym, co się znowu nie przebiło. I się nie przebijało, nie przebijało no, a on chciał być artystą i żyć z bycia artystą. Miał rodzinę pięcioosobową łącznie do utrzymania. To też jakoś o tym myślał i dlatego pewne decyzje. Oczywiście, jeśli ktoś trzyma się tylko tego, co czuję i w co wierzy muzycznie czy artystycznie w ogóle, czy w przy w pisaniu, czy w filmie i w końcu mu się uda, no to wtedy jest mądry. No bo tak byłem wierny sobie i to się w końcu opłaciło. Tylko, że wydaje mi się, że jest strasznie dużo takich wiernych sobie, co kończą gdzieś na marginesie życia szczególnie finansowego i że jednak to dla wielu osób jest nuda. Wydaje mi się, że nie zawsze możemy występować w tych docelowych dla nas w głowie miejscach. Czasami się okazuje, że nasz talent dużo lepiej sprawdza się w rodzaju sztuki, która może nie jest nam najbliższa. I to była dla mnie taka troszeczkę nauczka, że nie do końca można to krytykować. Nie uważam, że można. To jest jakieś snobowanie się. Chociaż sam Wodecki, kiedy potem się okazało po latach, że ta współpraca z Mitchami tak wspaniale się udała, to powiedział takie zdanie, które teraz jest z tego, co pamiętam na murali nawet gdzieś w Trójmieście chyba, że „Trzeba wierzyć w to, co się robi i czekać na swój czas” i jest taki namalowany Zbigniew

Wodecki. Tylko on wcale nie wyznawał tej zasady. On ją powiedział dosłownie na kilka miesięcy przed śmiercią, ale już mamy, który to upamiętnia i to dla mnie było bardzo też zabawne. Ale ten mój reportaż jest przede wszystkim o tym, jak to się stało, że taka płyta kiedyś była zapomniana, a potem się okazało, że jednak jest świetna. Co się dzieje z osobą, która po czterdziestu latach już dawno zdążyła się pogodzić, że to nie jest świetna płyta. No bo przecież nikomu za bardzo się nie podobała i się nie przebiła. A nagle okazuje się, że ktoś jej słucha młodszy o pokolenie i w dodatku znajdują się tysiące słuchaczy, którzy też chcą jej słuchać. Co się wtedy dzieje z tą osobą? Jak ona reaguje? No i czy można w ogóle powrócić do siebie samego sprzed lat? Czy ten sześćdziesięciokilkuletni człowiek jest w stanie powrócić do dwudziestokilkuletniego, który pisał te piosenki?

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: No i oczywiście jest też trochę o tym, jak wygląda zderzenie dwóch światów, czyli poukładanego świata Zbigniewa Wodeckiego, w którym on miał ustalony właśnie repertuar, ustalone anegdoty między piosenkami, żeby je wszystkie ładnie ze sobą połączyć w jedną całość. Wiedział zawsze, gdzie ma koncert w ciągu najbliższych kilku dni, jeździł tam sam samochodem, a świat zespołu Mitch&Mitch, który jest totalnie niepoukładany. To są muzycy zajmujący się setkami chyba już projektów muzycznych, działających trochę bardziej na zasadzie emocji niż planowanie tego, co będą robić i również to podejście do wspólnej pracy było inne, bo zastanawiam się, już się tego nie dowiemy, tylko możemy dowiedzieć się tylko i wyłącznie od Mitchów, właśnie jak Zbigniew Wodecki reagował między innymi na te żarty, które oni sobie z niego robili podczas koncertów. Oczywiście takie żarty przyjacielskie i bardzo muzyczne. To musiało wprowadzać elementy chaosu do tego jego przewidywalnego sposobu pracy.

KAMIL BAŁUK: Kilka razy opowiadał o tych żartach. Też zrobiłem dosyć duży research, jeśli chodzi o samego Wodeckiego. W zasadzie to w mojej części też Wodecki jest główną wypowiadającą się osobą, tylko że na podstawie tego, co mówił prasie i radiu i telewizji. No a to, co opowiedzieli mi Miche, to wydaje mi się, że to było tak po połowie. Z jednej strony się trochę denerwował, bo on strasznie ambitny i miał wdrukowane, że może sobie pozwolić na właśnie zafaszowanie albo urwanie dźwięku, więc kiedy na przykład Mitch&Mitch przedłużali mu w tej piosence „Opowiadaj mi tak” – jest na początku taki bardzo wysoki, bardzo długi dźwięk na trąbce. To oni mu to przedłużali w nieskończoność. On tam podobno czerwony się robił, ale nie odpuścił i potem oczywiście się zdenerwował. Po występie im to powiedział, ale później chciał to sam robić z drugiej strony. Tylko, że oni nie chcieli. No bo cały patent Mitchów polega na tym, że oni nie powtarzają swoich patentów. A cały patent w karierze muzycznej Wodeckiego tej końcowej to było szukanie tych patentów, żeby one działały. Jest taka moim zdaniem trochę smutna scena w tym reportażu pod koniec, kiedy oni już grają kilka lat i ten projekt Mitch&Mitch i Zbigniew Wodecki osiąga jakiś tam szczyt. Kiedy z jednej strony on akceptuję to, że robią te psikusy, a z drugiej strony chcą je powtarzać właśnie w Krakowie, kiedy rok wcześniej, kiedy w kawałek tej trąbki wplata hejnał krakowski. No to

Macio Moretti współlider Mitch&Mitch jest bardzo, bardzo z tego zadowolony, że on rozumie wreszcie, o co chodzi im. Wodecki też pewny, że Mitche z kolei rozumieją jego, ale po roku znowu to samo chciał zrobić, czyli jednak nie, czyli jednak to spojrzenie było zupełnie inne. No odpowiedź jest taka słodko-gorzka, bo to nie jest taka historyjka moim zdaniem piękna, jak to po latach Wodecki odkrywa siebie i całe jego życie się odmienia. Tylko jednak wniosek jest taki, że można wrócić do tego siebie sprzed lat muzycznie no, ale już się nie jest tym chłopakiem. To znaczy, nic nowego nie mogliby razem zrobić. Tak mi się wydaje i tak też Mitche mówią, co też sprawiło, że Wodecki chyba nie do końca zrozumiał ten fenomen powrotu płyty, bo to już słyszałem wśród muzyków jego pokolenia i przyjaciół, że nie mogą mówić powrotu, bo Zbyszek zawsze był. Zgodzę się powrotu płyty, ale trochę powrotu młodego Wodeckiego, nie zrozumiał tego tak jak Mitche albo tak jak młode pokolenie, albo tak jak publiczność Openera i OFF-a, która go pokochała.

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Ale nie można mieć do niego o to pretensji. W tym momencie, no on już był, kim był, w tym momencie, w którym to wszystko się działo.

KAMIL BAŁUK: Tak, ale właśnie dlatego to mnie tak fascynuje. Ja mam zero pretensji. Cieszę się, że to tak wyszło, bo takie hollywoodzkie opowieści się kończą często w tym momencie, że na szczycie wszyscy razem się przytulają i wreszcie, ta płyta wreszcie doceniona i powraca gigant. Ja byłem ostatnio w lecie na koncercie Rodrigueza, który był bohaterem pięknego filmu dokumentalnego „Searching for the Sugar Man” odnaleziony po latach. No wspaniała fabuła, ten koncert był strasznie słaby, strasznie słaby. Niestety muszę to powiedzieć i fajne są czasami opowieści, a to co za nimi stoi, już poza tą własną bywa inne. W wypadku Wodeckiego on trzyma formę do końca, więc tutaj nie było tego zagrożenia, ale fajne takim twistem fabularnym dla mnie było takie małe moje rozczarowanie, jeśli tak patrząc idealistycznie, że och jaka piękna historia, to potem na końcu, że nie, że jednak te drogi by się rozeszły. A, że niestety nie zdążyły tak do końca przez to bardzo nagłe odejście Wodeckiego, no to z jednej strony to olbrzymia strata i wszystkim nam jest pusto po prostu, bo to nie trzeba było słuchać nawet muzyki Wodeckiego, żeby było po nim pusto, bo on był jakimś takim kaznodzieją, wręcz bym powiedział w Polsce.

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Muzyka pod strzechy. Wodecki zagrał chyba wszędzie, w każdej możliwej miejscowości w Polsce, a jeżeli nie to na pewno miał to w planach.

KAMIL BAŁUK: Tak. On mówił, że nawet czasami się chce zdziwić. Wjeżdża gdzieś do jakiejś miejscowości i myśli sobie, no tu to jeszcze nie grałem, no a potem ktoś go wita i mówi „Panie Zbysiu, nie było Pana trzy lata”. Także faktycznie tych anegdot jest milion. Waław Krupiński współautor książki w wywiadzie z Wodeckim bardzo dużo tych anegdot z życia Wodeckiego przemycił, dlatego ja w ogóle nie wchodziłem w te anegdoty. Można odnieść wrażenie, że ten Wodecki z mojego reportażu jest właśnie

trochę smutny, zawiedziony. No zdradzę, że jest to też pewien sposób na to, żeby tę historię opowiedzieć ciekawie i to znaczy, ja nie uważam, że on był tym smutnym człowiekiem, ale na pewno nie był takim, który nigdy tego smutku nie doświadczył, no bo jednak był człowiekiem. Więc chciałem oświetlić trochę te rejonu tych takich niespełnień jego, o których tak chętnie nie mówił.

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: To gdzieś tam chyba mimochodem mu się czasem coś wyrwało po prostu przy okazji wywiadu.

KAMIL BAŁUK: No tak. No i potem reporter siedział i szukał tych fragmencików, ale to nie było, chcę być dobrze zrozumiany, to nie była tutaj jakaś taka manipulacja treścią tylko, jeśli chodzi o wywiady, to Wodecki też miał swoje patenty i nawet się troszeczkę dziwiłem kolegom i koleżankom dziennikarzom, że albo się nie przygotowywali do tych wywiadów, albo po prostu nie potrafili przełamać tej jego narracji, bo ja naprawdę byłem w stanie przeczytać w siedemdziesięciu, dajmy na to wywiadach, w sześćdziesięciu sześciu przypadkach te same rzeczy bez ani zdanka czegoś nowego. To znaczy, on miał sprawdzony sposób opowiadania o różnych rzeczach i opowiadał. Tego się świetnie słuchało oczywiście tylko, że wszędzie było to samo. No i ja bym się pokusił jednak o próbę taką przebicia tego balonika, szczególnie że on to też lubił, bo on lubił wyzwania, wydaje mi się. Także ja czasami szukałem takich momentów i faktycznie znalazłem nawet w tytułach, których bym nie podejrzewał o to. To znaczy, nie miejsca, gdzie się drukuje tylko jakieś pogłębione wywiady, tylko czasami w jakiś takich malutkich wypowiedziach. Nawet na ścianie znalazłem pod koniec jego życia takie bardziej refleksyjne nuty i to też było dla mnie fajne – zobaczyć, że nagle Wodecki opowiada o swoim podejściu do słuchania audiobooków Kafki, Dostojewskiego [ŚMIECH], o czym nigdy nie wspominał albo wspomina dzieciństwo, jakieś takie swoje obrazy z pamięci tego Krakowa, kiedy był dzieckiem i nastolatkiem – tego Krakowa, który gdzieś tam przepadł mu. Widzi, że kiedy miał szesnaście lat, wyjechał w trasę, z której nigdy nie wrócił w zasadzie do śmierci, więc nie miał też takich prawdziwych, prawdziwych przyjaciół. To też było bardzo trudne. Oczywiście on był przyjacielem każdego, ale żeby tak wybrać, kto był jego najbliższym to trudno. I każdy z tych osób, a rozmawiałem z ponad pięćdziesiątką – każda osoba mówiła „nie, nie, nie to musi Pan porozmawiać jeszcze z tym i z tym, bo on był bliżej”, a ta osoba wcale nie była bliżej. No, jeśli Wodecki spędzał każde większość dnia gdzieś między jednym miejscem, a na drugim jeżdżąc samochodem, rzadziej pociągiem, a czasem się nawet helikopterem zdarzyło, no to, to trudne to były przyjaźnie pewnie.

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: On też chyba nigdzie poza sceną nie był na sto procent, a czasami nawet na scenie zdarzało mu się już myśleć, o tym, że zaraz będzie odjeżdżał i chyba tutaj jest też ta trudność, że człowiek, który jest ciągle w trasie, ciągle żyje tym, co ma się zaraz wydarzyć i ciągle jest w biegu, to nie ma kiedy się zatrzymać, żeby nawet z kimś jakoś bardziej porozmawiać. Nawet te rozmowy telefoniczne jego były zawsze bardzo krótkie i konkretne.

KAMIL BAŁUK: Tak. Czasami przerywał rozmowy po minucie. Sam dzwonił i rozłączał się, bo mu się nudziło. No jest to jakiś patent też. [ŚMIECH] Nie no tak naprawdę, nie ma co żądać od osoby, która była tak ekspresyjna, tak energiczna, tak pełna życia, żeby była nagle smutna i refleksyjna, no może niekoniecznie smutna, ale to już jest kwestia chyba temperamentu i fajnie, że on się dzielił na scenie, tym co robił najlepiej.

Ja chciałem się troszeczkę dokopać do tego, co on tak naprawdę myślał, ale tego to chyba nikt nie wiedział i to był na mnie niesamowite, że trudno było powiedzieć, co on tak naprawdę sądził o wielu rzeczach, bo był tak miły i po pięciu minutach każda osoba już czuła się jego przyjacielem, że trudno go chyba było namówić na jakieś takie większe zwierzenia. Dlatego dla mnie ciekawą podróżą było właśnie porozmawianie z osobami, które w latach siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych z nim pracowały, również z tymi, które potem przestały z nim współpracować albo w ogóle zrezygnowały z życia artystycznego. Tutaj przykładem była pani Zofia Kamińska, która jeszcze w latach osiemdziesiątych była topową wokalistką polską. Potem przestała śpiewać. No i to było ciekawe, dlatego że jej wspomnienia z Opola z przełomu lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych były wciąż bardzo żywe. Z całym szacunkiem zarówno niektórzy prezenterzy, jak i muzycy, którzy na tej scenie są do dzisiaj, to im naprawdę się już myli, czy to było Opole osiemdziesiąt sześć, czy siedemdziesiąt sześć. I bardzo trudno jest czasami, pokazywałem nawet filmy, które dorwałem jakieś archiwalne i mówię „o tutaj pan to śpiewa, a w tej pan mówi to i to, to może pan pamiętał?” Nie wiem, to ja? [ŚMIECH]. Także wydaje mi się, że oczywiście w tym show-biznesie tryb życia mógł spowodować, że ta pamięć się jakoś tam zamazuje, ale z drugiej strony, jeśli ktoś coś robi codziennie przez czterdzieści lat, to potem trudno wymagać od niego, żeby pamiętał to w szczegółach. Wszyscy myśleli, że Wodecki tę pierwszą płytę będzie pamiętał, ale on jakoś nie chciał chyba. Dlatego nawet wydaje mi się, że te rozmowy właśnie z Alibabkami i z Wojciechem Szczecińskim, z tekściarzami. Fenomenalni są w ogóle tekściarze, bo jakby osobny rodzaj ludzi. To jak opowiadają tekściarze, jak pisali piosenki. To jest piękne, także fajnie było mi też poznać tekściarze, którzy jeszcze żyli, bo niektórzy już niestety nie, którzy tworzyli tę pierwszą płytę Wodeckiego. No bo potem po tych czterdziestu latach Wodecki razem z Mitchami śpiewał te same teksty, które były czterdzieści lat wcześniej napisane i niektórzy w ogóle się nie spodziewali. Leszek Długosz, kiedy odebrał informację o tym, że dostał Fryderyka za piosenkę roku, za tekst, no to powiedział, że przecież ta piosenka była napisana czterdzieści lat temu. O co chodzi? Albo Andrzej Kuryło – wrocławski tekściarz, który też zobaczył Wodecki i Mitch & Mitch na Openerze śpiewają zapomnianą płytę sprzed czterdziestu lat, to tylko pomyślał „Ja tam mam dwie piosenki”. [ŚMIECH] Także fajne to było naprawdę. Ciekawie się rozmawiało z tymi ludźmi estrady sprzed lat. Dla mnie to było, no nie podróż w dzieciństwo, bo nie żyłem wtedy. To była podróż w historię Polski. Co robił Wodecki w stanie wojennym? Jak to się stało, że Wodecki śpiewał po portugalsku albo po angielsku nie znając tych języków w ogóle?

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: A to zasługa słuchu absolutnego. On po prostu usłyszał, jak ma to zaśpiewać i już i wystarczyło. I to jest właśnie ten jeden z jego fenomenów. Również to, że potrafił z marszu nagrać kilka głosów,

jeżeli była taka potrzeba i sam sobie robił chórek na nagraniu. No to też jest niesamowita.

KAMIL BAŁUK: No fenomenalnie muzykalny człowiek i szkoda by było, żebyśmy go nie docenili, a powiem jeszcze o książce właśnie, które wyszła i widzę w niej, no mogę walczyć, mogę jakoś apelować, a i tak wyjdzie, co ma wyjść. Wszyscy moi znajomi biorą dedykacje dla swoich babć w tej książce, co oczywiście jest bardzo miłe, bo ja też swojej babci dałem i bardzo się podobało, ale książka jest pisana, znaczy książka – reportaż, czyli połowa książki jest pisana z perspektywy trzydziestolatka, trochę o trzydziściolatku Wodeckim, trochę o Mitchach minimalnie starszych, ale to jest taki reportaż, no to nie jest taka klasyczna biografia starszego artysty z całym szacunkiem, bo to słowo do Wodeckiego w ogóle nie pasuje. On umarł młodo, ale ta książka jest taką opowieścią, o tym jak działa muzyka, jak działa kultura. Przynajmniej tak się starałem, jak to jest, że czasami się coś udaje albo nie udaje? Jak wielka jest rola przypadku w tym wszystkim. Chciałem odkryć jakoś ten fenomen szczęścia w życiu artysty. No bo to, że Wodecki zupełnym przypadkiem w Świnoujściu trafił do baru, gdzie śpiewał jakieś Nat King Cole i inne standardy, i akurat tam był telewizyjny producent, który zaprosił do programu.

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: I to było dzień po jego weselu, już w trakcie wesela wyjechał, żeby tam być.

KAMIL BAŁUK: To też dużo mówi o właśnie tym Wodeckim w biegu. To w zasadzie mógłbym być równie dobrze pod tytuł książki „Wodecki w biegu”. No jak to się stało? Dotarłem też do tego reżysera Andrzeja Wasylewskiego i bardzo mi zależało, żeby odtworzył ten moment, bo nagranie się niby nie zachowało, ale udało się – nagranie, którego nie słyszał sam Wodecki i przez wiele, wiele lat bardzo chciał go posłuchać. To znaczy, nagranie gdzie on śpiewa, jak się okazało również po angielsku i po portugalsku. I od tego zaczyna się jego wielka kariera. Krótco potem nagrywa singiel i dostaje listy od fanów. To też znakomita sprawa przeczytać sobie listy z siedemdziesiątego trzeciego, czwartego roku od fanów, którzy napisali do Wodeckiego tylko dlatego, że „Przekrój” postanowił nieopatrnie, dzisiaj to by był proces chyba za to [ŚMIECH], opublikować adres Wodeckiego dla tych, którym się spodobał jego pierwszy singiel i on dostał dziesiątki listów i na szczęście Terakowskich – Terakowski to był tekściarz chyba taki najbardziej znany Wodeckiego, napisał większość tych najpiękniejszych jego tekstów, zachowała te listy. I też bardzo im dziękuję, że mogłem je przeczytać, bo to też było niezwykle dla mnie. Także takie odkrywanie troszeczkę zapomnianych epizodów, ale też fajne było też z tą brazylijskością na płycie siedemdziesiątego szóstego, bo ja pytałem bardzo długo Mitchów, co ich zafascynowało. Okazało się, że tam chodziło o głównie jedną piosenkę „Panny mego dziadka”. I historię tej piosenki też bardzo chciałem powiedzieć, bo ona się okazała takim wehikułem czasu, zupełnie niezwykłym. To znaczy, według relacji Wojciecha Trzczińskiego Wodecki nagrał wszyściutko sam, więc jest to jeden do jednego Wodecki dwudziestosześcioletni. No i po latach, w dwa tysiące którymś roku warszawski DJ Tomasz Konca, a potem Macio Moretti i muzycy warszawscy właśnie posłuchali tego

jednego utworu i od tego się zaczęło. Na tej płycie, ale głównie w tym utworze właśnie było bardzo dużo Brazylii, której trudno było szukać w tamtych czasach w polskiej muzyce. No i pytanie było, skąd ona się wzięła? Bo jak ten skrzypek z Krakowa? Skąd on to wziął? Wydawało się, że na Kubie to gdzieś usłyszał, że to było po prostu takie rytmy kubańskie bardziej niż brazylijskie, kiedy był tam ze Ewą Demarczyk, ale odpowiedź jest zupełnie inna i ta odpowiedź jest w książce „Wodecki. Tak mi wyszło”. Odnalazłem portugalski i odnalazłem tę brazylijskość Wodeckiego, o której na pewno, na pewno on zapomniał, bo to wiem z relacji licznych świadków, że nigdy nie pamiętał o tym że, śpiewał po portugalsku.

♪ Zbigniew Wodecki „Rzuć to wszystko co złe”

„Rzuć to wszystko, wszystko co złe
Co gnębi cię
Zostaw troski za sobą gdzieś
I ze mną pędź,
Właśnie ze mną!

Ty ze mną obok, ja z tobą
Niech szampan strzeli nam na drogę
Zwyczajne w nadzwyczajne znów odmieńmy dni”

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Podobną historię powrotu do debiutu mają na swoim koncie Alibabki, które przez lata współpracowały z największymi polskimi artystami między innymi właśnie ze Zbigniewem Wodeckim. O swojej debiutanckiej EP-ce – pierwszej, polskiej płycie z muzyką Ska też zapomniały. Po pół wieku drugie życie albumowi w rytmach Jamajka ska dali animatorzy polskiego środowiska związanego z muzyką jamajską. Tę historię znajdziecie w jednym ze starszych odcinków Audycji Kulturalnych na naszej stronie internetowej i w serwisie iTunes. A wracając do Zbigniewa Wodeckiego utwory, które znalazły się w tym odcinku podcastu, pochodzą z płyty „Sny podróżnika”, którą niedawno wydała wytwórnia GOD Records, a którą Wodecki nagrał w Katowicach w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku. Historie tych nagrania opowiada Michał Wilczyński.

MICHAŁ WILCZYŃSKI: Kiedy Zbigniew Wodecki pojawił się w grudniu tego roku studiów siedemdziesiątego piątego roku studiu Polskiego Radia w Katowicach, był muzykiem poszukującym. Miał już za sobą nagrania, miał za sobą współpracę z Ewą Demarczyk. Miał za sobą już pierwsze sukcesy solowe, ponieważ był i po festiwalach opolskich. Miał pierwszą czwórkę wydaną przez polskie nagrania, ale to wciąż jeszcze był artysta, nie tak nośny, obecny w świadomości słuchaczy jak później. Podobnie było z orkiestrą Jerzego Miliana. Ona też zdobywała słuchaczy, zdobywała dopiero odbiorców przez te dwa lata działalności, ponieważ orkiestra zaczęła działać w siedemdziesiątym czwartym roku w styczniu. Przez te niecałe dwa lata orkiestra nagrała bardzo dużo muzyki instrumentalnej i znacznie mniej piosenek. Zaproszono sporadycznie wokalistów, między innymi Andrzej Dąbrowski się pojawiał w studio w Katowicach i

śpiewał kilka utworów. Natomiast Wodecki był jednym z pierwszych, jeśli nie pierwszym w ogóle artystą, który zaczął regularnie współpracować z orkiestrą, ponieważ mówimy zarówno o nagraniach radiowych, tych, które trafiły na płytę „Sen podróżnika”, jak i mówimy o występach na żywo czy występach telewizji. Dla Jana Miliana współpraca ze Zbigniewem Wodeckim była czystą radością i to zawsze Jerzy podkreślał, gdy rozmawialiśmy o tych sesjach, ponieważ po pierwsze Jerzy Milian znalazł w osobie Wodeckiego – doskonałego wokalistę, po drugie kompozytora, po trzecie aranżera. To jest bardzo ważne, ponieważ często bywało tak, że utwory komponowane przez różnych artystów były przez orkiestrę potem przearanżowywane przez nich stały aranżerów na potrzeby tego konkretnego składu. Wodecki przyjeżdżał z własnymi procedurami. Wszystko było poukładane od A do Z, tak więc nagrywanie z nimi było czystą przyjemnością. Do tego był jeszcze instrumentalistą świetnym, który grał na skrzypcach i trąbce, tak więc no Jerzy miał tutaj znacznie ułatwioną pracę i mógł być spokojny o wynik końcowy. Jest w programie płyty kilka utworów, które bardzo nas zaskoczyły, gdy przygotowywaliśmy ten materiał. Po pierwsze to otwierające całość „A gdyby tak Robinsonem” napisane pod pseudonimem przez Tadeusza Prejznera kojarzonego raczej z muzyką bardzo liryczną, delikatną, nostalgiczną w swoim wyrazie, a tutaj mocny bit i no bardzo udana, bardzo ciekawa kompozycja. Duże wrażenie robi także „Dziękczynienie”. To jest kompozycja Piotra Kałużnego, ale w równie dobrze mógłby ją napisać Andrzej Zieliński dla Skaldów, ponieważ tam jest mnóstwo krakowskich harmonii i takich typowych dla Zielińskiego rozwiązań melodycznych, więc ta bardzo krakowska kompozycja to bardzo ciekawe, że pisana przez rodowitego Poznaniaka, bo stamtąd przecież Kałużny pochodził. Ciekawy jest bardzo utwór „W czwartek wygrasz ty”. Też jeden z tych bardziej żywych, dynamicznych numerów. Ciekawy przede wszystkim z powodu interludium w środku, gdzie Wodecki i jeszcze jeden Wodecki, i jeszcze Wodecki z pomocą wielośladu zaczyna grać bardzo rozbudowaną partię polifoniczną skrzypiec i robi to naprawdę niesamowite to dzisiaj też wrażenie. To, że na płycie „Sny podróżnika” znalazło się kilka utworów, które są także obecne na albumie debiutanckim Zbigniewa Wodeckiego wynikało z tego, jak wówczas działał nasz cały biznes rozrywkowy. Mianowicie nagrania płytowe ukazywały się z takim opóźnieniem, że naturalnym było nagrywanie co lepszych utworów w radiu, po to by mogły one szybciej zaistnieć w świadomości słuchaczy zanim płyta wyjdzie, bo płyta mogła wyjść za miesiąc, za dwa, za rok i nikt tak naprawdę nie wiedział, kiedy ona naprawdę się ukaże, dlatego to nie tyle było preludium doświadczenia, ile w pewnym sensie potrzeba zapewnienia dostępu do tego utworu słuchaczowi i często bywało tak, tak było z „Panami mojego dziadka”. Wodecki nagrał to w Warszawie i zaraz po nagraniu z Warszawy przyjechał do Katowic po to, żeby zarejestrować wersję radiową na świeżo, na żywo prosto po tym, jak powstała wersja płytowa. I ta wersja radiowa pierwsza trafiła do słuchaczy, zanim płyta się w ogóle ukazała. O nagraniu wiedzieliśmy już dawno. Przyznam się, że nie zdążyliśmy pogadać na ten temat ze Zbigniewem Wodeckim. My się widzieliśmy na benefisie, jeszcze go miał w dwa tysiące piętnastym roku. Rozmawialiśmy telefonicznie, gdy wydawaliśmy muzykę z „Pszczółki Mai”. Natomiast gdzieś tam, to było z tyłu głowy, że powinniśmy do tego wrócić. Wiedzieliśmy, że te nagrania są, ponieważ wiedzieliśmy po pierwszych kwerendach w radiu Katowice i

powoli przyglądaliśmy się temu, co zostało po orkiestrze Jerzego Miliana. No i po prostu nie zdążyliśmy niestety. Potem już, kiedy zaczęliśmy się przymierzać do tego projektu, Jerzy Milian wiedział o tym i bardzo mocno dopingował, żeby ta płyta się ukazała. No niestety nie zdążył już jej zobaczyć, ale wiedział o jej istnieniu i kształcie, w jakim ma się pojawić, a jeszcze zdążyliśmy z nim o tym porozmawiać.

DZIENNIKARKA MAGDALENA MISZEWSKA: Czy GOD Records ma w planach innych archiwalnych nagrań Zbigniewa Wodeckiego?

MICHAŁ WILCZYŃSKI: My na razie twórczość Zbigniewa Wodeckiego zostawiamy. Zostawiamy dlatego, że bardzo prężnie działa Fundacja imienia Zbigniewa Wodeckiego, którą prowadzi energiczna pani Kasia Wodecka-Stubbs i to z jej inicjatywy na pewno kolejne płyty z archiwaliami będą się ukazywać. I sami też jako fani bardzo mocno czekamy. My natomiast będziemy dalej szukać tego, co ciekawe w archiwach orkiestry Jerzego Miliana. Będziemy też zaglądać, mam nadzieję, w przyszłym roku do archiwów innych radiowych orkiestr. I w ogóle tak jak zawsze w każdym roku naszej działalności, po prostu szukać, tropić, odkurzać kolejne zapomniane materiały sprzed lat.

♪ Zbigniew Wodecki „A gdybym tak Robinsonem”

„Ach, uciec stąd, ach, uciec stąd
W daleki, piękny świat (w daleki świat)
Na obcy ląd (na obcy ląd), nieznany ląd
Co czeka gdzieś od lat (czeka gdzieś od lat)”

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: Audycje kulturalne – w dobrym tonie